

Legioniści-rekonwalescenci w Trenczynie.

Zdala od linii bojowej, na gościnnej ziemi węgierskiej, znajduje się szpital rezerwowy także w Cieplich Trenczyńskich. Leczy się tu bardzo wielu Legionistów, a szefem drugiego oddziału jest Krakowianin, dr. Stefan Filipkiewicz, znany zaszczytnie, jako sumienny i zdolny lekarz nie tylko w Krakowie i Trenczynie, gdzie zwykle lato przepędza, ale wszędzie tam, skąd corocznie do Trenczyna spieszą tysiące cierpiących, by tutaj szukać ratunku. A można śmiało powiedzieć, że w każdym sezonie bywa tutaj prawie cały świat reprezentowany.

Zwłaszcza teraz, w wojennym czasie, rozwinął dr. Stefan Filipkiewicz nadzwyczaj błogą działalność i zajął się z całym poświęceniem rodakami, którzy na polu walki stracili zdrowie i tutaj je pragną odzyskać. Wdzięczność pacjentów, to nagroda dla sumiennego lekarza za jego trudy i starania, które umiały ocenić także i sfery wyższe, ozdabiając go honorową odznaką Czerwonego Krzyża drugiej klasy z dekoracją wojenną.

Fotografię, przedstawiającą dra Filipkiewicza w gronie Legionistów-rekonwalescentów, nadesłali nam Jego pacjenci, nie mający dlań wprost słów uznania i chcący się bodaj w ten sposób odwdziżyć za wszystko to, czego od niego doznali.

Z drugiej sceny krakowskiej.

Nie pomnę, jak dawno, lecz — o ile mi się zdaje — przed niespełna dwoma laty w ciągu jednej z moich błyskawicznych wycieczek z Zakopanego do Krakowa, wpadłem pewnego wieczoru do Teatru Ludowego, którego misja, według mego przekonania, należy do najdonioślejszych, jaką rozumna opinia wyznacza wszelkim instytucjom, poświęconym widowiskom publicznym. Odniesione wrażenie było przykre, to bowiem, co ujrzałem, rozmięło się niemal zupełnie z celami sceny ludowej, która wprawdzie dostarczać powinna masom pracującym godziwej rozrywki, lecz zarazem stać się, jeśli nie doskonałym uzupełnieniem szkoły, to przynajmniej barwną i plastyczną ilustracją jej ideałów.

Sztuka teatralna, przez to właśnie, że jest połączeniem kilku sztuk innych, że spełnia zaszczytne zadanie popularyzowania ich zalet i blasków, a niekiedy staje się mniej lub więcej szczęśliwym ich obrazem zbiorowym, wywołuje i wywołwać musi wpływ niezmiernie silny i głęboki na widza słuchacza. Wywołując go zaś, obowiązana jest — jeśli

nie uczyć — to koniecznie kształcić i uszlachetniać. Zadania tego może dokonać tylko wtedy, gdy nie samą igraszką i zabawą przemawia do serc i mózgów, przebywających w ciałach, znużonych całodzienną, wyczerpującą pracą, lecz równocześnie, gdy rozbudza w nich duchowe aspiracje i oświeca umysły.



Z drugiej sceny krakowskiej: Helena Zahorska, artystka dramatyczna, w roli Magdy w „Gnieździe rodzinnym“.

Czytając dzienniki krakowskie, a w nich tygodniowe sprawozdania z działalności Teatru Ludowego, z radością, lecz zarazem z pewną niewiarą dowiadywałem się, że nowa jego dyrekcja zwięźle zapowiedziany zarys programowy rozwija pomyślnie w czynie. Zdawało mi się rzeczą niemożliwą, aby w tak krótkim, jak rok, przeciągu czasu można było gromadkę aktorów, przyzwyczajoną do zadowalania niewybrednych słuchaczy żartami i dowcipami fars

trywialnych w grze niemal cyrkowej, zmusić do otrząśnięcia się z niesmacznych, właściwych kłownom nawyczek, wskazując im obowiązek i konieczność kształcenia się i uprawiania szlachetniejszych rodzajów sztuki teatralnej.

Ale co wydawało mi się zupełnie niemożliwym, aby w tymże samym czasie publiczność, rozmiłowana w sprośnych i gminnych krotoczwilach, dała się zwrócić, nie tylko oczami, lecz sercem i duszą ku wiecznie promieniejącym słońcom wielkiego repertuaru, ku genialnym dziełom takich mistrzów, jak Szekspir i Sziller. Więc, żeby prawdziwość faktu stwierdzić, przybywszy w ubiegłym tygodniu do Krakowa, wybrałem się do Teatru Ludowego na przedstawienie „Gniazda rodzinnego“ Sudermana.

Sam dramat, aczkolwiek nie należy do arcydzieł, jest pod względem technicznym, a poniekąd i ideowym, zręcznie i udatnie napisanym utworem. Jako taki przedstawia zatem dla młodego i zmanierowanego przez dawne kierownictwo towarzystwa dramatycznego, oraz dla jego nowego dyrektora, dra T. Konczyńskiego, niezmiernie trudne zadanie uscenizowania i wykonania. Z przyjemnością przekonałem się, że nieufność moja nie miała racji bytu. — Znalazłem układ i ugrupowanie w akcję wprowadzonych postaci niezaprzeczenie poprawne i obmyślane artystycznie.

Panna Helena Zahorska, posiadająca oczy wymowne, pełne wyrazu, głos miły i dźwięczny, tudzież wspaniałą postawę, przedstawiła mi się w roli Magdy nie jak dyletantka, wiele obiecująca na przyszłość, lecz jako już artystka, zdobywająca zaszczytne stanowisko w kunszcie, polegającym — przy najwyższym nawet talencie — na rutynie. Rutynę jednak osiągnąć można niekiedy prędko, gdy ją wspierają: wykształcenie, zdolności wrodzone i praca, a warunki powyższe widocznie p. Zahorska posiada, jeśli dziś grą swoją subtelną i inteligentną wywołuje wrażenie prawdy, uidealizowanej szczerem uczuciem.

P. Grolicki, młodziutki, początkujący aktor, w bardzo trudnej roli pułkownika umiał wcale szczęśliwym usiłowaniem wykazać posiadanie twórczości charakterystycznej. P. Klan, grający pastora — zwykle, nawet przez doświadczonych wykonawców przestadzanego — trafił w ton właściwy, jakim kapłan przemawiać powinien, raz, jako zwykły śmiertelnik, cierpiący wraz z bliźnim, innym razem, jako głosiciel nauki Chrystusa. P. Heleński wywiązał się z niełatwego zadania, grając wcale udatnie próżnego samoluba. Wykonawcy mniejszych ról przyzwoicie zaokrąglali całość przedstawienia.

Zygmunt Sarnecki.



Legioniści-rekonwalescenci w Trenczynie: Dr. Stefan Filipkiewicz (X) w otoczeniu swych pacjentów.